

Wspomina Aleksander Grad, uczestnik wypraw BARI do Kotoru w 1984 i 1986 roku

Szkoła na całe życie

Co studenci geodezji AGH ukrywali w puszkach na szynkę konserwową? Kto zainteresował się ALEKSANDREM GRADEM w jednym z banków i jak wyglądało równouprawnienie podczas wypraw BARI? Na te i inne pytania odpowiada były minister skarbu, obecnie poseł na Sejm

AGNIESZKA BRACHUCY: Był pan aktywnym członkiem Koła Naukowego Geodetów na AGH. Jego historię tworzą m.in. zagraniczne obozy naukowe. Jak wyglądały przygotowania do wypraw, które Pan organizował?

ALEKSANDER GRAD: Koło Naukowe Geodetów było miejscem naszej studenckiej aktywności, lepszego poznawania praktycznej i naukowej strony geodezji, wielką szkołą przedsiębiorczości i dobrym sposobem na wspólne spotkania, imprezy, nawiązywanie przyjaźni. Szczególnie było to istotne w stanie wojennym i zaraz po nim, kiedy trudno było o wiarygodne, legalnie działające organizacje studenckie. Dlatego nasze wyprawy z lat 80. przygotowywaliśmy samodzielnie, bez pomocy innych organizacji studenckich. Nie chcieliśmy oddawać szyldu KNG, ale koło nie posiadało osobowości prawnej, stąd w pełni sami nie mogliśmy firmować przygotowań i prac. Dlatego działaliśmy pod szyldem AGH i naszego Wydziału Geodezji Górniczej (dziś Wydział Geodezji Górniczej i Inżynierii Środowiska), niestety powodowało to problemy z władzami uczelni. My pozyskiwaliśmy pieniądze, dokonywaliśmy zakupów, musieliśmy je rozliczać, a kwestor, księgowi i dziekan wściekali się na nas (*śmiech*), że coś im się nie zgadza w rachunkach. Szczególnie jak był debet po powrocie z wyprawy. Ale w sumie rektor i dziekan bardzo nas wspierali i pomagali w organizacji wypraw.

AB: Co się zmieniło w KNG za pana kadencji?

Mieliśmy wspaniałego prezesa Adama Olbricha, który wraz z innymi kolegami pchnął KNG na nowe tory. A czas był trudny. W latach 1981-83 Koło Naukowe Geodetów organizowało obozy oraz sesje naukowe i – co najważniejsze – nawiązało na nowo współpracę z UNESCO. Adam i cały zespół mocno się napracowali, a wyjazd BARI '83 bardzo się opóź-



Plan Kotoru i murów obronnych

nił i w efekcie był niezbyt udany. Zabrał czasu, wyprawa dojechała tylko do RFN i po niecałych 3 tygodniach wróciła. Ale dzięki ich pracy wyprawy BARI '84 i '86 były już bardzo udane.

To za moich czasów wprowadzono zasadę, że w obozach naukowych BARI można uczestniczyć więcej niż jeden raz. Stało się to ze względu m.in. na Adama, szefa naszego koła, żeby mógł pojechać w 1984 r. Ostatecznie on jednak nie pojechał, ale zapis został (*śmiech*). Skorzystaliśmy na tym z kolegami, bo mogliśmy być dwukrotnie członkami wypraw.

AB: Ale wyprawy kosztowały pana roczny urlop dziekański. Czy od razu znaleźcie cel wyprawy, jakim był śródziemnomorski Kotor?

Najtrudniejsze było przygotowanie wyprawy w 1984 roku. Stale korespon-

dowaliśmy z UNESCO, ponieważ zabiegaliśmy o ich dalszy patronat nad wyprawami BARI. UNESCO była zleceniodawcą naszych prac, pomiarów i byliśmy zobowiązani przedkładać im operaty oraz gotowe opracowania. Najczęściej wykonywaliśmy dla nich fotogrametryczną inwentaryzację architektoniczną zabytków wpisanych na listę Światowego Dziedzictwa Kultury. Pod koniec 1983 roku dostaliśmy ostateczną odpowiedź, że do zrealizowania jest inwentaryzacja murów obronnych i części Starego Miasta w Kotorze, po tym jak w latach 70. wystąpiło tam trzęsienie ziemi. Dzięki temu kontaktowi i zleceniu mieliśmy wyraźny cel kolejnych wypraw.

MIROSLAW MARCINIAK: Czy UNESCO wspomagała wyprawy finansowo?

To był nasz ważny sponsor, ale jego fundusze wystarczały na pokrycie zaledwie części kosztów. Na wyprawę BARI '86, której byłem kierownikiem, dostaliśmy 5 tys. dolarów. Wiąże się z tym niesamowita historia. Otóż chyba w czerwcu 1986 r., jeszcze przed wyprawą, na zaproszenie UNESCO pojechaliśmy do Paryża razem z szefem OPGK Szczecin, firmy, z którą współpracowaliśmy i która zapewniała fachową opiekę przy pomiarach oraz opracowywała wyniki. W Paryżu podpisałem z UNESCO umowę jako osoba fizyczna, Aleksander Grad!

MM: Jako student, tak po prostu?

Tak. Dostałem książeczkę czekową na pięć tysięcy dolarów, co w latach 80. było fortuną! (*śmiech*). Z tymi czekami wypisanymi na moje nazwisko pojechałem do banku w Zamościu, bo tam była Polska Kasa Opieki, czyli bank, który prowadził



Fot. Witriam Baran

Od lewej: Agnieszka Brachucy, Aleksander Grad i Mirosław Marciniak

rozliczenia walutowe. Jak przyszedłem z tą „czekówką”, to nagle pojawiło się koło mnie trzech dżentelmenów, którzy chcieli wiedzieć, co to za student przyjechał z czekami wystawionymi przez zagraniczną organizację (*śmiech*). Zastanawiali się pewnie, czy nie były fałszywe lub czy ja nie byłem „trefny”. Dzięki UNESCO i polskim firmom geodezyjnym, a głównie OPGK Szczecin, nasze kotorskie wyprawy odbyły się i odniosły sukces.

MM: Dlaczego aż trzykrotnie wyprawy kierowały się do Kotoru?

Proszę pojechać do Kotoru i zobaczyć, jaki obiekt był do zinwentaryzowania – całe stare miasto. Otaczające mury od strony morza i pnące się w górach były wyjątkowo trudne do sforsowania. Całość to gigantyczna budowla, kilkanaście kilometrów murów, ale także fortyfikacje obronne, baszty. Obiektów wewnątrz było mnóstwo, oczywiście schody, urządzenia do obrony. To była gigantyczna robota. Z jednej strony urwiska, a z dru-

giej... Pokażę wam zdjęcia (w tym momencie minister pokazuje zdjęcia, na których widać strome zbocza i urwiska). Wykonywaliśmy inwentaryzację z obu stron. Wtedy technologia była taka, że należało utrwalić fotopunkty na murach, dokonać ich pomiaru i określić współrzędne XYZ z jednej i drugiej strony, zrobić zdjęcia kamerą fotogrametryczną. Mury były zarośnięte drzewami, które często musieliśmy wcześniej usuwać. Niezbędna była współpraca z alpinistami.

AB: Z Polski czy z Kotoru?

Na czas naszego pobytu w 1986 roku przyjechała ekipa alpinistów z Polski. Był też z nami Władysław Borowiec (obecnie doktor, pracuje na Wydziale GGiŚ AGH) i jego zespół. Myślę, że do tej pory ma ciekawe wspomnienia z tego czasu (*śmiech*). My spaliśmy w pięciogwiazdkowym hotelu, a oni większość czasu spędzili w górach, w obozie. Przyjechali prywatnymi samochodami i po kilku tygodniach wrócili do kraju.

MM: Poprzednie wyprawy BARI są dość dobrze udokumentowane, w archiwum KNG znajdują się zarówno operaty, zdjęcia, jak i gotowe opracowania. Z wypraw do Kotoru nie ma prawie nic.

Administracyjna część dokumentów powinna być w archiwum Koła. Opracowania były wykonane i przekazane protokołem stronie kotorskiej (obecnie Czarnogóra) w 1985, 1986 i 1987 roku jako podstawa rozliczeń z UNESCO.

AB: Może gdzieś zachowały się jeszcze kopie?

To była ogromna, seryjna praca fotogrametryczna, bardzo dokładna i rozbudowana, więc zrobienie kilku dodatkowych egzemplarzy znacznie podniosłoby koszty. Wiem, że był z tym problem, ale na pewno wykonano całą dokumentację, bo widziałem ją już po roku 2006. Tak się złożyło, że byłem z rodziną w Chorwacji i wybraliśmy się do Kotoru, gdzie spotkałem się z Jovanem Martinoviciem, który organizował przed laty naszą pracę na miejscu, i on ponownie pokazywał mi te opracowania. Drugi egzemplarz być może zrobiło dla siebie OPGK Szczecin. Sądzę, że gdyby to opracowanie powstało dziś i na warunkach rynkowych, byłoby warte kilka milionów dolarów.

MM: Zagadka wydaje się więc rozwiązana. A jak to było ze słynnym kodeksem? Bo każda wyprawa zaczynała się od regulaminu wypraw BARI. Czy naprawdę tak wielką wagę przykładano do niego przy rekrutacji?

Tak było. Nie istniała żadna możliwość, żeby ktoś się prześlizgnął. Jakiś znajomy czy przyjaciel szefa koła naukowego. Reżim naboru i oceny działalności chętnych do udziału w wyprawie nie pozwalał dostać się inaczej niż według oficjalnej procedury. Brane były pod uwagę zarówno oceny oraz brak zaległości w nauce, jak i czynny udział w pracy koła (referaty, udział w sesjach naukowych i obozach). Wszystko było punktowane i podliczane, co było podstawą rekrutacji.



Fot. ze zbiorów Aleksandra Grada

W drodze na pomiary (Aleksander Grad w środku)



Fot. ze zbiorów Aleksandra Gmida

Prace terenowe przy inwentaryzacji fotogrametrycznej murów Kotoru

AB: Członkowie wypraw wnosili swój wkład pieniężny?

Konieczny był wkład własny, z tym że w latach 70. był on dużo większy, bo były większe kłopoty z tzw. sponsorin-giem. Moje wyprawy miały więcej pieni-ędzy, bo zdobyliśmy sponsorów na zakup żywności, a sprzęt mieliśmy głów-nie z przedsiębiorstw oraz z wydziału. Skok technologiczny dokonał się w 1986 roku, kiedy Zbigniew Czerski przywiózł nam do Kotoru kilka tachimetrów ele-ctronicznych firmy Wild. Wtedy po raz pierwszy mogliśmy pracować na tego typu sprzęcie, co pozwoliło nam zrobić dwu-, trzykrotnie więcej niż wcześniej-sze wyprawy.

MM: W kole naukowym był pan sze-regowym członkiem czy pełnił dodat-kowe funkcje?

Prezesem koła nie byłem. Ale jak się było szefem wyprawy, to w praktyce by-ło się i jednym, i drugim.

MM: Pytam, bo działalność w kole naukowym może być załączkiem życio-wej zaradności, a nawet przedsiębior-czości i może to było dobrym począt-kiem pańskiej kariery w biznesie?

Jestem przekonany, że aktywna dzia-łalność w kole naukowym, organizo-wanie tak dużych przedsięwzięć, jak wyprawy, bardzo przydała się w moim dalszym życiu. Gdyby nie KNG, wypra-wy BARI, obozy naukowe, nie założył-bym firmy zaraz po studiach i nie od-niósłbym sukcesu w biznesie. Wtedy o tym tak nie myślałem. Ale wyjazdy, rozmowy, negocjacje, załatwianie rze-czy wręcz niemożliwych dużo nas nauczyło, a poza tym to była megafrajda. Nie wiem, ile razy byłem w tym okresie w Szczecinie. Może 50? W wakacje mog-łem mieszkać w akademiku, na co by-

ła potrzebna specjalna zgoda. W części koszty organizacji były wliczane w bud-żet wyprawy. Stałe w drodze – Szczecin–Warszawa–Kraków – bo chociażby załatwienie wiz trwało kilka tygodni. To było ogromne przedsięwzięcie. A akwizycja? Zrobić zapasy na trzy i pół miesiąca też nie było łatwo.

AB: Właśnie, jak rozwiązaliście prob-lem z żywnością, której przecież brako-wało na rynku?

Pomagali znajomi ze sklepów PSS „Społem”, zakładów mięsnych w Kra-kowie i w Warszawie. Celnicy też mieli z nami przeprawy. Jak zobaczyli polską szynkę, w takich puszkach w kształcie serca „Krakus – szynki konserwowe”, byli w szoku. My tłumaczyliśmy: tam nie ma szynki, tam jest sok (*śmiech*). A celnik: to niemożliwe, proszę otwo-rzyć. Otwieramy, a tam sok! Bo kupo-waliśmy sok w butelkach szklanych, ale żeby ich nie wieźć, to w zakładach mięsnych załatwiliśmy, że na linii pro-dukcyjnej pół godziny było dla nas i puszkowaliśmy tam ten sok. W pie-karni załatwiliśmy, żeby chleb był dwukrotnie pieczony, następnie wyj-mowany, zraszany wodą i jeszcze raz wkładany do pieca, tym razem na kró-cej. Potem go kroili i w zakładach mię-snych w Krakowie specjalnie dla nas foliowali próżniowo. W sumie „organi-zowanie” żywności zabierało najwięcej czasu. W okresie, w którym był jej de-ficyt w kraju, udało nam się kupić nie-zbędne produkty. Wykorzystywaliśmy wszystkie znane nam ścieżki. Szefowa części spożywczej w Domu Handlowym „Jubilat” w Krakowie była zakochana w nas, studentach. Jak się pojawialiśmy, były czekoladki, prince polo, konserwy na wyprawę (*śmiech*).

AB: Władze paszportowe chyba były w szoku, że zawsze wszyscy wracali po wyprawie do Polski i nikt nie zostawał?

Na tym właśnie polegała nasza odpo-wiedzialność. Wiedzieliśmy, że jeśli ktoś zostanie, to następna wyprawa nie po-jedzie. Każdy z nas odczuwał presję... Ale oczy wychodziły nam z orbit, gdy oglądaliśmy życie na Zachodzie. Nieraz mieliśmy ochotę zostać, jednak to, że na-stępni mogliby nie pojechać, trzymało nas w ryzach.

MM: Wyprawy pomogły panu później w prowadzeniu biznesu?

Poznawaliśmy tam nowe technologie, mogliśmy pracować na nieporówny-walnie lepszym sprzęcie. Pierwszy raz widzieliśmy cyfrowe technologie już w latach 80. Po tych doświadczeniach starałem się w firmie dbać o jak najlep-szą jakość sprzętu, żeby pracować na nowoczesnych urządzeniach i wdrażać nowości.

MM: Takie wyprawy mocno integru-ją. Czy dawne przyjaźnie przetrwały?

Oczywiście. Wyjeżdżając, zналиśmy się z koła, jednak wyprawy łączyły niesamo-wicie. Trzy, cztery miesiące bez przerwy razem, więc tam poznawaliśmy się tak naprawdę, całkowicie. Nie zapomnę, jak w Kotorze, który leży na południu Czarnogóry, latem temperatury dochodziły do 40 stopni, a my musieliśmy prowa-dzić pomiary na dużych wysokościach i w ostrym tempie. Wspinaliśmy się z ca-łym sprzętem, a po pomiarze znosiliśmy go na dół. Dziewczyny, które pojechały na wyprawę, uznały, że będą „zabezpie-czać” pomiary, bo faktycznie były one dla nich za ciężkie. Jednak postawiliśmy z kolegami warunek, że w zamian będą miały częstsze dyżury w kuchni podczas powrotu i jazdy po Europie. Póki byliśmy w Kotorze, plan im się podobał, nato-miast po robocie zmieniły zdanie. Powie-działy, że nie będą częściej gotować. Tak wyglądało równouprawnienie członków wyprawy! Jak było ciężko i gorąco, to wo-lały być w hotelu, na basenie, w morzu (*śmiech*), a jak trzeba było stać przy garach, to równouprawnienie musiało być.

AB: Może tym feministycznym akcen-tem skończymy rozmowę (*śmiech*)?

Nie, tak nie możemy zakończyć. To dzięki naszym dziewczynom wyprawy BARI były merytoryczne, ale i barwniej-sze, i spokojniejsze.

Agnieszka Brachucy

studentka Wydziału GGiŚ AGH,

członek KNG Dahlta

inż. Mirosław Marciniak

student Wydziału GGiŚ AGH,

wiceprezes KNG Dahlta

Wystuchała i spisała Miriam Baran

studentka IDiKS UJ w Krakowie, członek KNSD UJ